

Franciszek Hryniewicz

Nie tylko wspomnienia

SERDECZNI PRZYJACIELE Z NAD NIEMNA I ŚWISŁOCZY

Jakże żywo mam w pamięci te wieczorki białoruskie w Wilnie w okresie przed Wielką Rewolucją Październikową, kiedy to w mieszkaniu studenta Pranu-ka-Umiasowskiego przy Białym Zaułku gromadziła się młoda białoruska i polska, aby słuchać recytacji utworów poetów białoruskich Dunin-Marcinkiewicza i Franciszka Bohuszewicza. Wiersze zwiastowały już burzę rewolucyjną. Może wśród obecnych byli przyszli czołowi poeci białoruscy Janka Kupała, (Iwan, syn Dominika Łucewicz) i Jakub Kolas, (Konstanty Mickiewicz), rówieśnicy urodzeni w tym samym 1882 roku. Aczkolwiek wieczorki przepłatane były tańcami dla upomoczenia zabawy przed czujnym okiem policji, treść ich miała charakter polityczny. Podobne zebrania odbywały się w Minsku. Były to bowiem dwa ośrodki kulturalne życia białoruskiego. Deklamowano na pamięć lub z rękopisów, bo cenzura carska nie pozwalała na druk książek białoruskich do 1905 r. Były rozpowszechnione, ale nie przynoszono ich na zebrania, ze względu na ostrożność. Poeci białoruscy drukowali przed rewolucją swoje utwory w Krakowie lub Poznaniu. Franciszek Bohuszewicz swój pierwszy zbiorek wierszy wydrukował za pośrednictwem Elizy

Orzeszkowej w Poznaniu, i z Poznania przemycony został na ziemię białoruską. W wieczorkach białoruskich brali udział studenci uniwersytetu moskiewskiego, petersburskiego oraz warszawskiego i krakowskiego. Uczestniczyli w nich również synowie robotników i rzemieślników. Symbolem braterskiej, serdecznej przyjaźni między nimi był Władysław Syrokomla. Gdy ktoś zadeklamował jakiś jego wiersz białoruski, odpowiadało mu wierszem polskim, gdyż „Lirnik Wioskowy” miał na strunach swej liry poezję polską i białoruską. Gdy rozchodziliśmy się późno w noc, braliśmy z sobą rękopisy pod kamieniem przy studni ulotki rewolucyjnej polskiej i białoruskiej.

Tradycje przyjaźni dwóch bratnich narodów sięgają głęboko wstecz, do wspólnych dziejów. Już w początkach XV wieku pierwszy drukarz białoruski Franciszek Skoryna tło-

czył w Krakowie książki religijne w języku białoruskim. Mamy w nich ten piękny język białoruski Statutu Litewskiego; język, którym mówiono na dworze wielk książęcy w Wilnie i Trokach. Wówczas bowiem kultura białoruska była wyższą od litewskiej i bardziej rozpowszechnioną na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Pierwsze więc druki białoruskie szły na Litwę z Korony. Językiem białoruskim posługiwano się długi czas w sądownictwie Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Stosunki między narodami zakłócały walki wyznaniowe katolicko-prawosławne o wpływy na lud białoruski. Były one jednak narzucone z zewnątrz przez kościół lub cerkiew. Hamowały rozwój kultury narodowej białoruskiej i po rozbiorach Rzeczypospolitej osłabiały wspólną polsko-białoruską walkę z caratem. Gdy jednak do głosu dochodziły siły rewolucyjne na Białorusi i w Polsce, natychmiast powstawała jedność działania. Tak np. w czasie powstania styczniowego w 1863 roku działacz białoruski Konstanty Kalinowski porwał do walki chłopów białoruskich i w czasopiśmie „Mużyskaja Prawda” głosił hasło walki „O naszą i waszą wolność”, łącząc ją z walką o równość społeczną wszystkich stanów we wszystkich dziedzinach życia. Największy rozmach powstanie przybrało w ówczesnej gubernii grodzieńskiej, gdzie wspólnie walczyli z caratem Białorusin Kalinowski i Polak Wróblewski, przyszły generał Komuny Paryskiej. W szeregach powstańców znajdował się czołowy poeta białoruski — Franciszek Bohuszewicz.

W późniejszym okresie sojuszu braterstwa w walce z caratem zawarty został w bojowej umowie pomiędzy „Proletariatem” a „Narodną Wolą”, która działała na ziemiach białoruskich. Gdy następnie SDKPiL rozwinęła swą akcję wśród mas robotniczych na Litwie i Białorusi każde większe wystąpienie robotników polskich znajdowało żywy odzwierciedlenie na ziemiach białoruskich. Na wieść o krwawych demonstracjach w Łodzi, porzucili pracę robotnicy w Grodnie, Białymostku i Smorgoniach, gdzie odbyły się strajki krwawe stłumione przez policję. W strajkach brali udział robotnicy białoruscy i polscy.

Walka o wyzwolenie społeczeństwa

ne i narodowe Polaków i Białorusinów nie ustała po rewolucji 1905 roku, lecz prowadzona była wspólnie. Pierwsza wojna światowa znalazła proletariatu polski i białoruski dostatecznie zespolony do prowadzenia dalszej wspólnej walki w czasie okupacji niemieckiej.

Te bratnie, serdeczne stosunki dotrwały do dni naszych. Adam Mickiewicz, Syrokomla, Orzeszkowa czytani są tak samo w chatkach białoruskich jak i polskich. Kult Mickiewicza nie gaśnie na Białorusi radzieckiej, lecz jeszcze strzelistszym wybuchu płomienia

(Ciąg dalszy na str. 2)



FRAGMENT OPOWIADANIA O SANATORIUM WYSTĘPUJĄCYM
 W SŁYNEJ POWIEŚCI TOMASZA MANNA „CZARODZIEJSKA GÓRA”

Wielka polityka i barany

Bogdan Rutha

Dramatyczne wydarzenia w polityce z ostatnich lat przed drugą wojną światową wstrząsały również i Berghofem z Czarodziejskiej Góry. Były to lata wojny domowej w Hiszpanii, Anschlussu, zaboru Czechosłowacji. Sala jadalna w sanatorium doskonale ilustrowała nastroje ówczesnej Europy, a linia podziału politycznego przebiegała w niej najwyraźniej. Ożywione dyskusje i żywy temperament dyskutujących przedstawicieli różnych narodów zmusiły dyrekcję sanatorium do rozsądnego rozdzielenia neutralnymi stolikami zbyt gwałtownie z sobą walczące obozy. Najbardziej bojowi byli oczywiście Niemcy-hitlerowcy i Hiszpanie-frankiści. Ci ostatni dostojni, „szlachetni hidalgowie” — namiętni i drażliwi stanowili żywy obraz Hiszpanii z czasów Wielkiego Inkwizytora Torquemady i św. Oficium. Zabawnie, chorobliwie dumni, żyli ciągle jeszcze w średniowiecznym świecie pojęć rycerskich. Fanatycznie i powierzchownie katolicycy w każdą sobotę udawali się gromadnie do spowiedzi św., nie rozstając się nawet wtedy z eleganckimi inkrustowanymi nożami, które nosili z dziecięcą

ostentacją w kieszeniach lub u paska spodni.

Byli pobożni rodzajem pobożności ludzi, dla których kościół jest stronnictwem politycznym, a religia politycznym wyznaniem wiary, pobożni ową „kupiecką pobożnością”, która radzi przechodzącym obok kościoła zdejmować kapelusz „na wszelki wypadek”. Podobni o wym obłudnikom, którzy pod koniec życia stracili z konieczności zainteresowanie dla uciech świata doczesnego, usiłującą dewocją wytargować u Boga wygodną wieczność.

Hiszpanie-frankiści, ponurzy średniowieczni faszyci w nowoczesnym wydaniu, z namietną nienawiścią do przypadkowych przeciwników politycznych walczyli z zabawnym zacietrzewieniem przy stolikach sali jadalnej, na werandach Berghofu lub w cukierniach Davos-Uzdrowiska. Gdyby cieżgody Don Miguel de Cervantes wiedziony ciekawością powstał z grobu, krzyknąłby na ich widok z zachwytem i... nie odważyłby się zapewne w swej ojczyźnie drugiego napisać Don Kichota. Niezlomne przekonania polityczne oraz właściwa im godność osobista potrafili w sposób zadziwiający kojarzyć z niemymi talentami handlowymi.

Pewien ceniony towarzysz marki hiszpański, którego rozległa dobra pod Aranjez były chwilowo terenem ożywionych walk, zmuszony był utrzymać się ze sprzedaży znaczków pocztowych przysyłanych mu z jego ojczyzny, a osteplowanych przez falangistowską pocztę polową. Znaczki takie były wówczas bardzo poszukiwane na rynku filatelistycznym.

Pewnego razu otrzymałem list z Hiszpanii ofrankowany znaczkami z nadrukiem republikańskiej poczty polowej. Ponieważ jednak te ostatnie były znacznie cenniejsze od pierwszych, pan markiz, gdy je spotrządził, z prawdziwym trudem opanował zgorzniecie i nieufność, po czym podszedł do mnie z bardzo uprzejmym lecz odmierzoną ukłonem. W słowach pełnych intymnej serdeczności poczał prosić o podarowanie mu niepotrzebnej mi już zapewne koperty. Odbierając ujął ją w dwa palce i niebale schował do kieszeni. W tej chwili na twarzy markiza odmalował się głęboki niesmak, po czym zaczął się wolno i z godnością oddalać, jak człowiek, który po bohatersku spełnił przykry dlań obowiązek wobec cierpiącej ojczyzny.

W owym czasie, ostatnich lat międzywojennych, tak brzemienne w wydarzenia i niespodzianki w świecie polityki europejskiej, słynny Bad Da-

vos gościł nierzadko przeróżnych a świetnych przedstawicieli Trzeciej Rzeszy. Odwiedzali wtedy Davos: Schacht, „wielki bankier Rzeszy” i nie tylko Rzeszy, „ostawiony fabrykant z Zagłębia Ruhry, potentat niemieckiego przemysłu, Fritz Thyssen, człowiek, który później powiedział o sobie i nie bez słuszności: „Ich bezahlte Hitler”, nadworny lekarz Hitlera słynny fizjolog dr Sauerbruch, który pierwszy w Europie przeprowadził udane operacje klatki piersiowej w gruźlicy płuc, dalej minister finansów hitlerowskiej Rzeszy dr Funk (skazany w procesie norimberskim) i wielu innych.

Funk, dość tegi pan o jowialnej twarzy, zawsze uprzejmie przypominał trochę pocziwego kupca z małego miasteczka. Z niemiecką pedanterią, dokładnie co dwa miesiące odwiedzał swą córeczkę, Fräulein Funk, która leczyła się w Berghofie.

Przyjeżdżał do Davos wspinał się ośmiocyfrowym Mercedesem, wybitym jasnopopielatą skórą. Na obydwóch błotnikach ministerialnego samochodu sterczały sztywno dwie chorągiewki ozdobione, zamiast spodziewanej swastyki, dwoma czarnymi wilhelmowskimi orłami. Owa wstydliwie pomijana swastyka była doskonałą ilustracją właściwego hitlerowskim Niemcom, stylu propagandy na terenie międzynarodowym. Kulturalniejsi zewnątrz Niemcy — faszyci, szczególnie w państwach neutralnych, usiłowali i nie bez powodzenia prowadzić politykę von Pappena, wilka w owczej skórce — bardziej niebezpieczną od ordynarnych wieców wrzasków jawnych zupełnie hitlerowców. Minister Funk miał zwyczaj z okazji swego pobytu w Davos, urządzić od czasu do czasu intymne przyjęcia dla swych zaufanych gości i znajomych, zwane gardenparty, prawdopodobnie dlatego, iż odbywały się przeważnie w ogrodach hotelu Angletterre. W sezonie zimowym zbierano się również chętnie w luksusowym hotelu, zwanym — „hotelem dyplomatów”, w uroczej dolinie Klosters w pobliżu Davos, tej samej, która była celem wycieczek bohaterów „Czarodziejskiej Góry”.

Ów słynny hotel w dolinie Klosters posiadał własne sztuczne lodowisko i na nim to naręcono w latach międzywojennych wiele znanych filmów muzycznych z Sonią Henie, z serii „tańca na lodzie”. W czasie owych „spotkań ogrodowych” zbierało się zwykłe towarzystwo składające się z osób różnych narodowości, często o najdziwniejszej przynależności państwowej, z ludźmi o nie zawsze wyraźnie określonej profesji, lecz zapewne ściśle określonej

(Ciąg dalszy na str. 2)

Z POEZJI UKRAIŃSKIEJ

Pawło Tyczyna — to jeden z najbardziej znanych poetów współczesnych radzieckiej Ukrainy, laureat nagrody stalinowskiej. Urodził się w 1891 roku we wsi Pieski, w byłym województwie czernihowskim.

Poezja Tyczyny tkwi głęboko w tradycji klasycznych wzorów twórczości ukraińskiej, a szczególnie Tarasa Szewczenki, i ciągle czerpie nowe wartości z bogatej twórczości ludowej. Jej piękno, jej ścisłe zespolenie się z tokiem mowy ukraińskiej, swoisty sposób wyrażania, obrazowania i ujęć artystycznych — czyni z niej poezję niezwykle trudną dla przetłumaczenia. Czasem wprost wydaje się, że niektórych utworów nie da się zupełnie przyswoić polskiemu czytelnikowi. Poniżej przedstawiamy przekład wiersza Pawła Tyczyny.

J. R.

Paulo Tyczyna

Przełożył J. Rataiczak

Braterstwo narodów

Nie patrząc na dawne przegrady
 chciałbym na nowo, jak najprędzej
 wszystkie języki i narody
 połączyć z sobą łukiem tęczy.

I tym uczuciem żyję cały,
 spokoju nie dam też nikomu,
 jak gdybym ciskał gromem w skały
 byś słyszał: biegnie odgłos gromu...

I płynięciem echem grom w oddali
 i wieść za sobą wszędzie toczy,
 że most istnieje z wiecznej stali,
 który narody wszystkie łączy.

I ty poczniesz w pewnej chwili
 z nadmiaru uczuć zawrót głowy
 jakbyś wśród stepu się pochylił
 nad źródłem czystym, kryształowym.

Oto dalekość, obcość znika,
 świat zbliża się na długość ramion
 — i cudzych słów ze ciężką dotykasz
 jak najdroższego talizmanu.

Z początku treść za dźwięk się chowa
 a potem coraz leższy przystęp
 i nagle słyszysz: słowa! słowa!
 Obce lecz bliskie jak ojczyste.

Tak, to już nie jedynie dźwięki,
 a nie pustynia leksykonu —
 w nich przecieży trud, i pot, i męki,
 i mglisty zarys nieboskłonu.

W nich lasów, pól i łąk aromat,
 gwar stolic i wieczoru cisza,
 śmiech ludu, walka nieskończona
 o jutro i o lepsze dzisiaj.

I w swym języku obcym słowem
 udzielasz miejsca jako bratu —
 i wieść, że jest to wspólny owoc
 więzi i sił proletariatu.

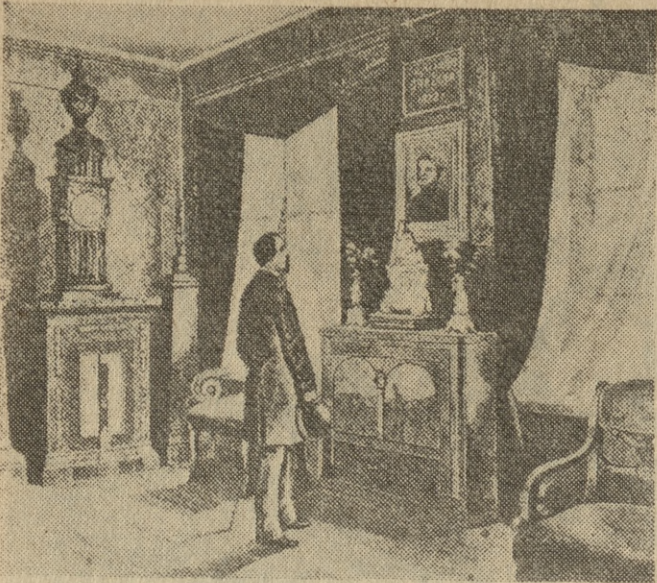
1936 r.



Z MOSKIEWSKIEJ WYSTAWY SZTUKI PLASTYCZ-
 NEJ BIAŁORUSI

Obraz artysty-malarza Anatola Tyczyny pt. „Nad rzeką
 Świsłocz” (z cyklu litografii „Minsk”)

Fot. — CAF



MICKIEWICZ — ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

Jesienią 1821 roku pisze Adam Mickiewicz w Szczyrkach pod Wilnem „Grażynę”. Kończy ją w listopadzie 1822 r. w Kownie, a wydaje w roku następnym w Wilnie. Na zdjęciu: Wilno. Pokój, w którym Mickiewicz przepisywał „Grażynę”.

MICKIEWICZ — DOCTUS

Nie ma potrzeby ukrywania tego, że jedną z przyczyn, dla których Mickiewicz ubiegał się o posadę wykładowcy literatury łacińskiej w Lozannie w Szwajcarii, było jego ciężkie położenie materialne. Ożenił się kilka lat przedtem, rodzina się powiększała, a z samego pisania trudno było żyć. Zrobilibyśmy jednak wielką krzywdę Mickiewiczowi, posądzając go o brak fachowego przygotowania do tego bądź co bądź poważnego stanowiska.

Podstawa wiedzy

Mickiewicz odbył w latach od 1815—1819 gruntowne studia na Uniwersytecie Wileńskim, głównie w zakresie filologii klasycznej. Do wybitnej kadry profesorskiej, której Mickiewicz szczególnie dużo zawdzięczał, należeli dwaj bracia Śniadeccy (Jan — astronom i Jędrzej — chemik), Leon Borowski, prof. teorii i historii literatury, Joachim Lelewel, postępowy historyk i Gotfryd Ernest Groddek, prof. filologii klasycznej. Człowiek ten miał bardzo wszechstronne zainteresowania naukowe i był autorem 2-tomowej historii literatury greckiej. W stosunku do studentów był bardzo wymagający. Mimo pewnych drobnych antagonizmów między Mickiewiczem a Grodkiem oraz pewnej osobistej niechęci profesora do ucznia-poety, Mickiewicz zawiązywał profesorowi głęboką i wszechstronną znajomość świata starożytności, ścisłą metodę naukową, zdyscyplinowanie umysłu oraz szacunek dla dokumentu, jaki stanowią źródłowe teksty. Pod wpływem Grodka Mickiewicz doszedł do przekonania, że przekład nigdy nie zdoła w pełni zastąpić oryginału i dlatego tak pilnie przykładał się do studiowania tekstów greckich i łacińskich. Groddek miał własną interpretację mitologii, kładł duży nacisk na etymologię; uczył, że literatura nie jest czymś oderwanym, lecz ściśle związanym z duchem czasu i właściwościami danego narodu. Dialektycznie podchodził do przedstawiania rodzajów literackich. W literaturze stosował metodę porównawczą. Dodajmy jeszcze, że Groddek był tym, który przywiózł do Polski znaną teorię Wolfa o poematach Homera.

Drogi do Szwajcarii

Do tego, co Mickiewicz zawdzięczał swym profesorom, trzeba jeszcze dodać jego własną pracę, a zwłaszcza szerokie odczytanie w literaturze współczesnej, czym nawet przewyższał Goethego. Z autorów starożytnych cenił szczególnie: Pindara, Safone, Aischylosa, Lukrecjusza, Katulla, Horacego, Owidiusza, z historyków Salustiusza, Liwiusza, Tacyta i Swetoniusza. Wiedzę o świecie antycznym rozszerzył i pogłębił w zakresie archeologii podczas pobytu w Rzymie (1830).

Akademia w Lozannie powstała w czasie reformacji. Utrzymywała ona ścisłe stosunki z Bernem i raz po raz zapraszała uczonych francuskich. O wolnym stanowisku wykładowcy literatury łacińskiej dowiedział się Mickiewicz z prasy. W staraniach o tę posadę pomagało go szereg wybitnych osób. Z różnych przyczyn, m. in. także politycznych, formalności trwały dość długo. Mic-

kiewiczowi przyznano zrazu tytuł profesora nadzwyczajnego. Tytuł zwyczajnego miał otrzymać w ciągu roku na podstawie dysertacji i konkursu. Wiemy jednak, że otrzymał ten tytuł na podstawie swej pracy i dobrej opinii władz oświatowych.

Opinia chwalebna także dla komisji

Oto co pisał o Mickiewiczzie zarząd Akademii w sprawozdaniu do Rady Wychowania Publicznego: „Znajomość życia wewnętrznego Rzymian w związku z sztukami i literaturą, znajomość ducha języka łacińskiego oraz ducha poetów i mówców, którym służył za narzędzie, zadziwiająca biegłość przenikania ich charakteru indywidualnego, połączona z badaniem ich utworów; szczęśliwe zestawienie starożytnej literatury rzymskiej z rymaitymi literaturami nowożytnymi, wyborne władanie słowem w języku obcym, na koniec barwa świeżości i nowości, nadana na pozór już wyczerpanemu przedmiotowi, natchnienie duszy poetyckiej, dary i wyniki pracy, oto w oczach słuchaczy Mickiewicza przyczyny rosnącego ciągle powodzenia jego wykładów, które zjednują sobie młodzież, ściągają coraz bardziej tych, którzy mogą najlepiej o nich sądzić”.

Pierwszy wykład Mickiewicza odbył się 12 listopada 1839 roku. Jak wynika z listów wśród ówczesnych osób, Mickiewicz był bardzo wzruszony, gdy wstępował na katedrę. Młodzież przyjęła pierwszy wykład z entuzjazmem. Na wykładzie oprócz studentów obecni byli przedstawiciele władz oświatowych, przyjaciele i koledzy poety. Prasa kantonalna pominęła jednak milczeniem jego pierwsze wystąpienie.

Dośladność wykładowcy

Temat wykładów Mickiewicza brzmiał: „Historia literacka wieku Augusta, połączona z objaśnianiem ustępów wybranych z autorów tego wieku”. W rzeczywistości odbiegł Mickiewicz nieco od tego oficjalnego kursu. Z zachowanych notatek i seksternu jednego ze studentów możemy mniej więcej zorientować się w treści wykładów, których w sumie wygłosił około 30. Obejmują one początki literatury rzymskiej i sięgają do Cyserona.



MICKIEWICZ — ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

Na zdjęciu: tzw. „Kamień Filaretów” w lesie tuhanowickim pod Wilnem. (Rys. z albumu T. E. Borettiengo). Las tuhanowicki był ulubionym miejscem wycieczek Adama Mickiewicza oraz członków organizacji filomackich i filareckich.

Lud białoruski ma swoistą a piękną twórczość tak poetycką, jak prozaiczną, a u nas bardzo mało znana. Twórczość poetycka jest przeważnie smutna, o takichże motywach muzycznych; przy tym jest ona bardzo bogata. Można ją ująć w pewne grupy, którymi są: pieśni rodzinne, pieśni obrzędowe, pieśni robotnicze i zawodowe, pieśni liryczne najobficiej reprezentowane, mówiące o miłości szczęśliwej, albo tragicznej, o najcięższej dziewczynie, czy ukochanym chłopcu — i wreszcie piosenki taneczne.

Pieśni rodzinne śpiewa się przy chrzcinach, na weselu i na pogrzebach. Największą zanotowaną ilość pieśni swatów i pieśni weselnych, łączących się i z różnymi obyczajami związanymi z tym obrzędkiem, a sięgającymi motywami

13 marca został Mickiewicz mianowany profesorem zwyczajnym. Tak zwany wykład instalacyjny odbył się jednak dopiero 26 czerwca 1840 roku. Mówił w nim Mickiewicz o poezji chrześcijańskiej, a szczególnie o Prudentiuszu. Był to prawdopodobnie ostatni wykład Mickiewicza w Lozannie. Były już wtedy dość daleko posunięte propozycje wywołujące Mickiewicza do Collège de France do Paryża, dokąd nominację otrzymał we wrześniu a wyjechał wraz z rodziną 4 października.

Mickiewicz przygotowywał się do wykładów bardzo starannie. Na przykład z jego pierwszego wykładu zachowały nam się w brulionie 2 oddzielne opracowania zakończenia i dwa osobne opracowania cało-

ści. Korzystał ze współczesnych opracowań, lecz w wielu wypadkach zachował oryginalność swych sądów. Próbuje dociec, na czym polega istota, duch, geniusz literatury rzymskiej.

Choć dziś w wielu wypadkach różni się w sądach od Mickiewicza na temat kultury i literatury antycznej, choćby na przykład w sądzie o Homerze czy Lukrecjuszu, musimy przyznać, że Mickiewicz stał na poziomie najnowszych ówczesnych zdobyczy naukowych. Dzięki szerokiemu odczytaniu mógł z takim powodzeniem stosować metodę porównawczą i syntetyczną.

Do wielu więc zasłużonych tytułów naszego poety możemy dodać jeszcze jeden: doctus — uczony.

JAN HOROWSKI

wieki. Należą do nich tak zwane „wesnjanki”, których treścią jest przywoływanie wiosny, wywoływanie deszczu, czy pogody.

Trzecia z kolei grupa to pieśni robotnicze, a więc śpiewane przy pracy w polu. Największa ich część łączy się z okresem zniw i dożynek.

Z piosenkami robotniczymi łączy się w pewnej mierze i pieśń „zawodowa”, a więc: rybackie, pasterskie, myśliwskie, żołnierskie dawne i współczesne — partyzanckie, robotnicze.

Jak już wspominałam na początku: najbogatsza jest twórczość liryczna, przeważnie sentymentalna. Ale nie brak tu piosenek pełnych humoru i to przeważnie na temat pokpiwania młodej żony ze starego męża, względnie dziewczyny z niemiłego jej załotnika.

Ostatnia wreszcie grupa — to piosenki taneczne, śpiewane zasadniczo przy dwóch tańcach. Jeden z nich to tak zwany „kruchavij”, przypominający trochę naszego poloneza, a drugi to „poduszcze”, który jest właściwie grą, zabawą, połączoną ze śpiewkami. Wreszcie jeszcze jedno zagadnienie tu poruszę: oto czy w twórczości ludowej białoruskiej spotykamy motywy historyczne. Owszem są, ale jest ich niewiele w pieśni, więcej w różnych opowiastkach. Wspomnę tylko ten szczegół, że istnieją pieśni o Kościuszcze. Podaje je Piłmieńczyk w nr. 68 z roku 1882 „Dziennika Poznańskiego”.

Twórczość proza jest niesłychanie bogata i ciekawa. Składają się na nią różne legendy, gawędy na przeróżne tematy, niezliczona wprost ilość bajek, wreszcie przysłówia i zagadki. Najwięcej jest chyba bajek i to o czarownikach i czarownicach (wystę-

pują przede wszystkim: Baba Jaga i Kosiej), o diablach, upiorach, topielcach i wilkołakach. Sporo jest bajek o zwierzętach. Spotykamy w nich wiele motywów wędrownych. Nieprzebraną kopalnią myśli ludu białoruskiego są jego przysłówia.

Tak oto przedstawiają się najważniejsze chyba szczegóły o twórczości ludu białoruskiego. Ale chcę tu właśnie jeszcze jedno zagadnienie poruszyć, a jest nim pytanie: kiedy powstało zainteresowanie się nią. Oto pierwszym jej badaczem był przyjaciel Adama Mickiewicza Jan Czechot, który wydał dwa tomiki twórczości ludowej białoruskiej pt. „Pieśni wieśniacze z nad Niemna i Dzwiny” (t. I Wilno 1844), w tomie 2 (rok 1846) umieścił i przysłówia.

Poza nim i po nim zainteresowali się tym zagadnieniem różni badacze, tak polscy, jak rosyjscy a też niemieccy. — Jednakowoż, szczerze powiedziawszy — to nasza, polska bibliografia notuje bardzo mało pozycji na temat twórczości ludowej białoruskiej. Ale: nie należy wątpić, że ta sprawa ulegnie zasadniczej zmianie tak w teraźniejszości, jak i w przyszłości.

Dr Zofia Kawecka

Serdeczni przyjaciele z nad Niemna i Świsłoczy

(Dokończenie ze str. 1)

niem. Większość utworów Mickiewicza, a zwłaszcza „Ballady i Romanse”, które wyrosły z legend i podań białoruskich, każde dziecko w oryginale i w przekładzie. Do Muzeum Mickiewicza w Nowogródku, odbudowanego przez naród białoruski po wojnie, odbywają się niezliczone wycieczki młodzieży białoruskiej. Przy kopcu Mickiewicza w Nowogródku śpiewy i tańce białoruskie znaczą żywą więź młodzieży białoruskiej z twórczością naszego Wieszczka. W Grodnie, gdzie żyła i pracowała Eliza Orzeszkowa, niedawno wzniesiony został pomnik ku jej czci. W Mińsku jedna z magistralnych ulic otrzymała nazwę Feliksa Dzierżyńskiego, przywódcy SDKPiL, urodzonego na ziemi białoruskiej.

Przez całe piśmiennictwo białoruskie przewija się serdeczna nie braterskiej przyjaźni do narodu polskiego. Czy to weźmiemy pisarzy z połowy XIX wieku; Dunin-Marcinkiewicz i Franciszka Bohusiewicz, czy późniejszych Janka Kupala (1882—1942) czy Jakuba Kołasa (ur. 1882), czy wreszcie z najmłodszych Maksyma Tanka — wszyscy dają wyraz serdecznym uczuciom przyjaźni dla narodu polskiego. Gdy dywizja kościuszkowska w ostatniej wojnie zwycięsko szła w walkach z hitlerowcami przez ziemie białoruskie, żołnierze polscy z rozrzewnieniem witali byli przez chłopów białoruskich. To nie tylko był oddech wdzięczności za przyniesioną wolność przez Armię Radziecką, ale i radość, że tą wolnością niosą na zwyciężczych sztach darach również żołnierze kościuszkowskiej dywizji.

Maksym Tank uczcił pamięć poległych żołnierzy na ziemi białoruskiej w serdecznym wierszu, w którym pisał:

Nam śmierć ich nawet nie
potrafi zabrać
To są wolności najprzed-
niejsza kadra
Jak byli z nami — będą,
choć polegli!

Na wieczorynkach białoruskich w Wilnie i Mińsku przed pierwszą wojną światową był piękny zwyczaj przepojony głęboką wiarą mówienia na pożegnanie:

— „Zahlanie sonce i u nasze wokońce!” (zajrzy słońko i do naszego okienka!).

Odpowiadano chórem: — „Zahlanie!” (Zajrzy!).

I sprawdziła się wiara w lepszą przyszłość narodu białoruskiego. Dziś wyzwolona Białoruś ze swoją 11-milionową ludnością, buduje szczęśliwe życie w ramach Związku Republik Radzieckich, dzieląc jego rozkwit i potęgę.

BOGDAN RUTHA

Wielka polityka i barany

(Dokończenie ze str. 1)

nych zadaniach. Była to przecież Szwajcaria, gdzie tradycyjnie już były sobie wygodne i bezpieczne gniazda wszelkiego rodzaju wywiady, i gdzie zawsze zbiegały się nici wielkiej polityki międzynarodowej.

Z dała od oficjalnych spotkań dyplomatycznych owe intymne rendez-vous na pewno byłyby brzemienne w następstwa na arenie polityki międzynarodowej. Nie trudno było również zorientować się, że cele wizyt wspomnianych dygnitarzy w Szwajcarii byłyby najbardziej różnorodne, jak i pozory pod którymi je odbywano. Do interesów o charakterze już mniej dyplomatycznym należało niewątpliwie lokowanie po cichu dewiz w solidnych szwajcarskich bankach.

Pamiętam, było to zdaje się na dwa lata przed wojną, w pociągu biegnącym najpiękniejszą alpejską linią kolejową z Włoch do Szwajcarii. Pociąg wydobyszy się z głębokiego tunelu, przebiegał właśnie nieopodal przełęczy, słynnej z klasztoru najmlodszych zakonników i najrozumnějších psów — klasztoru św. Bernarda. Do mojego przedziału wszedł wysoki mężczyzna o płynnych, lecz oszczędnych ruchach sportowca, pociągłej twarzy i chłodnych nieprzyjemnych oczach. Zauważyłem, że gdy przeglądałem pisma humorystyczne z

karykaturami Hitlera, przyglądał mi się uporczywie swym nieprzyjemnym wzrokiem.

W rok później spotkałem tego samego pana w jednym z dawoskich lokali, zwanym „Chez-nous”, a który znany był z doskonale murzynskiej orkiestry jazzowej, przyjeżdżającej do Davos z Ameryki na dwa miesiące zimowego sezonu.

Już wtedy czułem do mego nieznajomego z pociągu dziwną a nieuzasadnioną antypatię. Raz jeszcze potem widziałem mego towarzysza podróży w Davos. Brał udział w przyjęciu urządzanym w hotelu „Palace” z okazji pobytu w Szwajcarii generała Paula Haussera, jednego z twórców hitlerowskich wojsk SS.

Herr Rella — bo tak właśnie nazywał się mój tajemniczy nieznajomy — w tych samych mniej więcej latach spotkać było można również w Polsce, przechadzającego się z narzeczonym na ramieniu po zakopiańskich Krupówkach. Pan Rella, znany austriacki sportowiec był w owym czasie oficjalnym trenerem polskich narciarzy na międzynarodowe zawody FIS-u w Zakopanem w roku 1939 i przebywał u nas na zaproszenie i koszt rządu polskiego.

Jakież jednak musiało być moje zdumienie, gdy w pierwszych miesiącach okupacji, siedząc w Zakopanem w Kryształowej zobaczyłem mego znajomego po raz piąty. Wchodził właśnie do cukierni w towarzysztwie szefa zakopiańskiego Gestapo, Weissmana i kilku innych panów z hotelu „Palace” (sic!). Również i teraz Rella odpowiadał bardzo odpowiedzialne stanowisko, był bowiem z kolei szefem Gestapo na całe Podhale. Przedwojenny pobyt w Polsce prawdopodobnie bardzo mu się przydał w późniejszej jego owocnej pracy w naszym kraju.

O wielkiej gorliwości i pełnym poświęceniu się pana Rella, byłego trenera polskiej kadry narodowej, w nauczaniu nas, tym razem już zupełnie innego rodzaju dyscyplin, opowiedzieć może niejeden zakonpianczyk.

Wspominany w „Czarodziejskiej Górze” hotel Anglettere, obok Belvederu i Grand Hotelu, był jednym z najbardziej ekskluzywnych przybytków tego rodzaju w Davos. Posiadał własne korty tenisowe i był

równocześnie siedzibą zarządu, równie ceniącego się Davoskiego Klubu Golfowego, którego tereny doń przylegały. Anglettere mieścił liczne salony urządzone z konserwatywnym smakiem w stylu staroangielskim.

Jedynie w ciągu dwóch zimowych miesięcy pełnego sezonu salony i sale Anglettere, i innych wielkich hoteli, ożywiały się, pulsowały życiem i beztrudną zabawą. Towarzystwo było wtedy raczej dość mieszane, pełne królów syjamskich, słynnych gwiazd filmowych, milionerów, dyplomatów wszystkich narodowości, osób bez bliżej określonej przynależności państwowej, oraz rzesze przeróżnych postaci, przybranych w nienagannie skrojone smokingi, ludzi o których nigdy dokładnie nie wiadomo było, ani z czego ani dlaczego żyją. Sam hotel jak i przylegające doń tereny Klubu Golfowego leżały u stóp Berghofu i były z jego okien i tarasów doskonale widoczne.

W czasie leżakowania, z werandy mego pokoju, obserwowałem często jak wysocy arystokratyczni członkowie Klubu w chwilach wolnych od posiłków, wizyt i innych wyczerpujących zajęć, w wytwornym skupieniu spacerując po łące, oddawali się grze w golf.

Od rana do wieczora na owej falistej łące z dziurami w murawie, szczypało trawę spokojnie, w zgodzie gromadę jedenastu białych owieczek i tyleż czarnych baranów. Barany i gace zwykle nie przeszkadzali sobie nawzajem. Nie raz tylko zdarzało się, że jakiś roztrzepany baran popchnął piłkę nosem zamiast hrabiego — czego przepisy gry prawdopodobnie nie przewidywały.

Wówczas wszyscy gracze zbierali się i długo stojąc pochyleni nad piłeczką dyskutowali, jakie by tu znaleźć wyjście z tej trudnej i niecodziennej sytuacji. Chłopcy z kijami trzymali się w przepisowej odległości od utytułowanych graczy, a baran winowajca stojąc nie opodal przyglądał się im w głębokiej zadumie.

Gra nie należała do ożywionych, gdyż gracze snuli się po łące tak sennie, że kiedy przyklnąwszy oczy po pół godzinie nie otworzyłem je znowu, stał się zwykłe jeszcze nad tym samym dołkiem...

WYDARTA LASOM

Kiedy raz i drugi rzuciło mną porządnie o ścianę wozu, zrozumiłam zdziwienie pracowników Rad w Międzychodzie i w Łowyniu na wieść o tym, że wybieram się do Krzyżkówka. Wioska ta leży rzeczywiście „za górami i lasami”. Droga do niej fatalna.

Z lasu wylania się Krzyżkówko nagle, z miejsca ujmując serce wędrowca swym malowniczym położeniem. Ładnie tu, na tej wydartej lasom ziemi. Dwa, czy trzy duże stawy porośnięte szuwarami i rzęsą, łąki na wzgórzach, upstrzone gdzie niedługo starymi olchami, a potem pola równe, spokojne. I lasy. Wieś skupiła się gęsto, chałupa przy chałupie, jakby dla dodania sobie odwagi w walce. A mają z czym walczyć mieszkańcy Krzyżkówka. Każda garść zboża ciężko jest zdobyć. Kosztuje wiele pracy zabiegów. Mówili o tym w Międzychodzie, mówili przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej w Łowyniu — Alojzy Gałganek rodem z Krzyżkówka.

— Pazurami się ojcowie trzymali tej wydmy, a przecież nie prócz nędzy nam nie przynosiła. W 1945 roku władze powiatowe proponowały gospodarzom Krzyżkówka przenieść się na Zachód, a wszystkie pola przeznaczyć pod zalesienie. Ale bo to kto chciał. Z niedźnego, wieloletniego dorobku stali się właścicielami tych kilku hektarów ziemi. Więc w nią wrosli.

Rok 1945 przyniósł jednak do Krzyżkówka nie tylko propozycję zalesienia. Przyniósł wiew nowego. Chłopską dolą zaczął się interesować cały naród. Zaczęły wychodzić dla chłopów liczne gazety, specjalne pisma fachowe. Na zebrań SL-u czy Związku Samopomocy Chłopskiej przyjeżdżali różni mądry ludzie z powiatu i województwa. Krzyżkówko poczuło, że nie jest już osamotnione.

Głowa wsi był o wielu lat Tomasz Keller. Mądry chłop co „z niedźnego pieca chleb jadł”, a przy swym doświadczeniu chętny do pomocy i życzliwy. Jego to wieś wybrała na prezesa ZSCH. I właśnie dlatego, że Keller i kilku rozumnych, śmiałych gospodarzy Krzyżkówka postanowiło piachy zamienić w kwitnące ogrody — z walki podjazdowej ze złą ziemią przejść do ataku — dlatego znalazłam się w Krzyżkówku.

Nigdy bym nie przypuszczała, że Tomasz Keller ma już 70 lat. Twarz wprawdzie porały mu trochę zmarszczki, ale to raczej od ciągłego uśmiechu, co ciepłym blaskiem okala tryskającą energią oczy. Ruchliwy też jest i niedługo może w miejscu usiedzieć. Podczas naszej rozmowy wstawiał, gestykulował, a nawet chodził, przemierzając wolno niedużą izbę. Wszystko co mówił pełne było zarówno głębokiej ludowej mądrości, jak i znajomości wielu spraw.

— W życiu trzeba iść zawsze naprzód. Tylko zostać w tyle, to już człowiek nie nadąży — mówił.

Kroczył też Tomasz Keller śmiało po trudnej i pełnej wybojów drodze swego życia. W 1920 roku brał udział w strajku rolnym. Pracował wówczas pod Poznaniem w Piotrowie — własności pana barona Unruga. Po strajku wyrzucili go z roboty. Wiedział, że tak przedkło nowej nie znajdzie. Postanowił stać się niezależnym od jaśnie-pańskich humorów.

Na dobrą ziemię nie starczyło, ale piachy w łowynskich borach były tanie. Został więc w Krzyżkówku. I trwał. Brał się za bary ze złą ziemią i z tym klimatem przekleństwem co to do Krzyżkówka przymroź sprawował w maju. Wszystko na darmo. Sady, co sobie Keller i kilku gospodarzy założyło przestały w 36 roku zupełnie owocować. Ziemia rodziła miernie. Bydło chodziło osowiałe, niedożywione. Gniebily podatki.

Po wojnie zaczęło się pomalu w Krzyżkówku zmieniać. Właściwie zapoczątkowało wszystko to, że Keller znalazł wreszcie przyjaciela i partnera w walce. Były to — coraz szerszą strugą przypływające do Krzyżkówka — czasopisma, książki. Izba Tomasza Kellera wyglądała jak pracownia jakiegoś ascetycznego naukowca.

Na tle czystego, ale bardzo skromnego wnętrza, góry książek, pism fachowych, gazet. Na stole rysunki.

— To projekt nowego siewnika do nawozów sztucznych wszelkiego rodzaju. Takiego nie ma jeszcze. Projekt mam już w szczegółach obmyślony, tylko że nie dostaję od trzech miesięcy odpowiedzi na moje zapytanie, w tej sprawie skierowane do Wojewódzkiego Zarządu Rolnictwa. Do realizacji brakuje mi środków i warsztatu.

Przynajmniej, że wstyd mi trochę było za WZR. Powiedziały więc, że pewnie projekt trzeba szczegółowo rozpatrzyć. Swoją drogą mogliby się pracownicy WZR zająć projektami Kellera, bo nie pierwsza to maszyna jego pomysłu. Starą kopaczkę, co już żadnego pożytku nie przynosiła, przerobił na nowoczesny wyorywacz do ziemniaków. Ster skombinował do opielacza-wieloraka do obróbki roślin, zbóż i okopowych, dzięki któremu zaoszczędza się pracę trzech ludzi. Ale najważniejsze osiągnięcie Tomasza Kellera to nie przeróbka maszyny, a przemiana jakich udało mu się dokonać w ludziach Krzyżkówka. Nie we wszystkich jeszcze, co nie. Śmiało jednak można powiedzieć, że koło miczurinowskie, którego Keller jest prezesem, to awangarda postępu w rolnictwie.

Pierwszym zadaniem, jakie sobie koło postawiło, to przywrócenie urodzajności drzew, które od kilku lat nie owocowały. Trzeba było najprzód stanąć do walki z kilkunastomilowym mrozem wiosennym, który co roku nawiedza dolinę. Przez kilka nocy wiosennych 1954 roku miczurinowcy nie kładli się spać. Na sady ze wszystkich stron wsi szły zasłony dymne. Zwyciężyli. Resztę dokonało obraczkowanie, zmuszające drzewa do owocowania oraz odpowiednia pielęgnacja.

I oto jałowe sady zaczęły rodzić. Na poletkach doświad-

czalnych pokazały się nieznane dotąd w Krzyżkówku rośliny. Proso złote, sorgo oleiste, czumiza dająca z jednego ara 50 kg zbioru, łubin. Po raz pierwszy zaczęto stosować kiszonki. Zimą miczurinowcy zbierali się na czytanie broszur i dyskusje. W tym roku przybyło poletek. Wysiano półtora kilograma krzyczy — zebrano 50 kg. Na dwóch arach uprawiono żyto własnej selekcji. Przyniosło 75 kg, co daje 37 kwintali z hektara.

W przyszłym roku będą miczurinowcy w dwunastkę, zespołowo, uprawiać kukurydzę i krzyczę. Przekonali się już, że pojedynczo nie dadzą rady piachom, mrozom, dzikom i żarłocznym wronom. „Siła zleża na jednego”. Ale za to razem mocni są i coraz śmielsi. Budu-



Na tegorocznych dożynkach w Warszawie został Tomasz Keller odznaczony złotym krzyżem zasługi.

Fot. K. Przychodzki

ją też okólniki do zimnego wychowu trzody chlewniej. — Skazane na zalesienie Krzyżkówko ma dziś perspektywę rozwoju.

A Tomasz Keller, skromny i jak zwykle cichy, podrzuca dalej sąsiadom to książkę jakąś ciekawą, to broszurę i cieszy

się, że Krzyżkówko nadąży. że nie zostaje w tyle. Na tegorocznych dożynkach w Warszawie został odznaczony złotym krzyżem zasługi.

— Była to najpiękniejsza chwila w moim życiu — powiedział. Ten twardy człowiek miał w tej chwili łzy w oczach.

Piękna jest droga — myślałam wracając z Krzyżkówka. Chodziło jednak nie o wertepy leśne, które mijaliśmy. Chodziło o drogę, po której kroczyliśmy.

ZOFIA ANDRZEJEWSKA

Awans leku roślinnego

Zastosowanie surowców zielarskich w lecznictwie sięga okresu pierwotnego człowieka, gdy, nie znając jeszcze uszlachetnionych owoców i warzyw, odżywiał się on najprościej, jak się dało, pokarmami roślinnymi.

Ziołolecznictwo stare jak ludzkość

Obserwując umiejętność dobierania leczniczych roślin przez chore zwierzęta, znajdował człowiek wśród nich takie o silnym działaniu fizjologicznym, a więc zbawiający lek w wypadku choroby. Do wielu świadczących o tym spostrzeżeń „medycyny naturalnej” należą między innymi obserwacje Pliniusza, który na przykład opisuje ptaka egipskiego ibisa robiącego samemu sobie lewatywę lub hipopotama, upuszczającego sobie krew przez skalenie nogi ostrą trzcina. Przypadek pomagał niejednokrotnie wykrywać bardzo silne działanie niektórych leków. Dzięki niemu na przykład ipekakuana (wymiotnica) znana była pierwotnym ludom Ameryki Południowej dużo wcześniej, niż europejskim lekarzom. Dopiero z czasem niektóre zioła o dużym znaczeniu leczniczym zaczęto specjalnie uprawiać. I tak na przykład w starożytnym Egipcie i na Krecie uprawiano między innymi mięte, rącznik i kolendrę, rozpowszechnione później na Pół-

mgr Jerzy Lućmowski

sekretarz naukowy Państw. Instytutu Naukowego Leczniczych Surowców Roślinnych w Poznaniu

wyspie Apenińskim, skąd z kolei wiele z nich zawędrowało do ogrodów polskich.

W Polsce jednak przez długi okres czasu uprawa ziół nie miała charakteru plantacyjnego, co więcej była ona bezpłatna i nieracjonalna, a brak standardu i duże wahania cen wpływały na niską opłacalność ich produkcji. Dopiero w warunkach władzy ludowej nastąpił zwrot w dotychczasowej gospodarce ziołami. Rozpoczęto planową, i w zależności od potrzeb, plantacyjną uprawę roślin leczniczych. Areal plantowanych ziół w porównaniu z rokiem 1939 wzrósł o kilka tysięcy hektarów.

Zioła sprzymierzeńcem zdrowia

Oczywiście jest znaczenie ziół dla lecznictwa, a więc dla zdrowia ludzkiego. 25% asortymentu leków, jakimi dysponuje lecznictwo w Polsce stanowią zioła lub leki pochodzenia roślinnego. Średnie zapotrzebowanie roczne samych tylko mieszanek ziołowych sięga blisko 400 ton. Wzrost potrzeb w ziołach luzem i paczkowanych w ciągu czterech ostatnich lat wy-

nosi około 55 proc. Leczenie preparatami farmaceutycznymi, opartymi o surowiec ziołowy wzrosło od roku 1953 prawie o 110 proc. Obserwujemy również stały wzrost konsumpcji preparatów farmaceutycznych, zawierających wyizolowane z roślin ciała czynne, takie jak „Bellafit”, „Bellacorn” — posiadających w swym składzie alkaloidy. Morfina — cenny lek uspokajający i przeciwbólowy, i atropina wpływająca na czynności większości narządów są również lekami pochodzenia roślinnego, na które wzrasta zapotrzebowanie. Z ziół wyrabia się obecnie w kraju ponad 100 prostych przetworów m. in. miody, syropy, soki, nalewki, wyciągi, a nawet proszki ziołowe. Ten bogaty asortyment produktów zielarskich cieszący się coraz większym popytem pacjentów jest dowodem na znaczący wzrost zainteresowania znaczenia leku roślinnego.

Asortyment ziół stosowany w kraju, w lecznictwie ludowym wielokrotnie przewyższa ilość ziół objętych Urzędowym Spisem Leków. Sprawdzaniem tych ziół pod względem ich wartości zajmują się pracownicy Państwowego Instytutu Naukowego Leczniczych Surowców Roślinnych w Poznaniu. Osiągnięcia pozytywne wyników badań nad ziołami „ludowymi” pozwoli wprowadzić do oficjalnego lecznictwa nowe, cenne rośliny. Prace te posiadają doniosłe znaczenie dla gospodarki państwowej, gdyż prowadzą m. in. do zastąpienia importu zagranicznego. Wytypowano już cały szereg roślin, które z powodzeniem zastąpić mogą zioła zagraniczne. Sprowadzanej wymiotnicy pod względem działania wykazuje nie ustępuje nasz kopytnik. Z krajowej rośliny widliaka wrońca można otrzymać „selaginę” — lek doskonale zastępujący „pilokarpinę” produkowaną z rośliny (Pilocarpus pennatifolius) rosnącej w południowej Ameryce. Pilokarpana była dotychczas jedynym, nieodczynnym lekiem przy leczeniu jaskry (schorzenia oczu).

Dlaczego niechęć?

Potrzeba leku roślinnego była przetrwała z roku na rok. Już w tej chwili przewiduje się w planie 5-letnim wzrost potrzeb o około 100 procent w stosunku do roku 1955. Będzie to wyrazem postępującego uświadamiania lekarzy i pacjentów o wartości leku roślinnego. Nie stety jest jeszcze dzisiaj duży procent lekarzy, którzy niechęć nie ustosunkowują się do preparatów roślinnych. Większość ich ma dość słabo opanowaną wiedzę o działaniu ziół i przetworów ziołowych, co utrudnia lekarzowi ordynowanie leku roślinnego. Ponadto przy podjęciu praktyki, młody lekarz boi się, przepisując lek roślinny, zarzutu znachorstwa. Chorym zaś wydaje się często, że proste i tanie lekarstwo, jakim jest lek roślinny, nie może pomóc. A przecież w wielu innych krajach już dawno zwrócono uwagę na leki roślinne, wychodząc z założenia, że syntetyki nie mogą całkowicie zastąpić w lecznictwie ciał organicznych zawartych w roślinach. Mimo że uświadamienie o wartości leków roślinnych nie objęło jeszcze całego społeczeństwa, z przytoczonych wyżej liczb wynika jasno, że lek roślinny w Polsce awansuje, awansuje do roli, na jaką w pełni zasługuje. Sprawy leku roślinnego i jego znaczenia w sozjalistycznym lecznictwie poświęcono specjalną konferencję wszystkich zainteresowanych naukowców, jaka odbyła się w ostatnich dniach września w Poznaniu.

Wiesława Anna Stypa
Poznań, 15 września 1955 r.

List tylko w połowie żartobliwy

SZANOWNY REDAKTORZE!

Należę do rzędu tych nieznośnych osobników, co to lubią wsadzać nos tam, gdzie ich nikt o to nie prosi.

Chodzę sobie więc dość często po moim kochanym, starym Poznaniu, przyglądam się niedokończonym jeszcze toalecie kamieniczek na Starym Rynku, które ku zgorszeniu zwolenników ekswilhelmowskiego komercjalizmu stroją się i strają w bajecznie kolorowe szaty. No, i mam powód do dumy i satysfakcji. Dawne to wprawdzie czasy, biorąc naturalnie pod uwagę historię naszego „Głosu”, kiedy to on właśnie za mieścił mój żrzedliwy, pełen wścibskich zapytań list „miłośniczki zabytków Poznania”. Dawne to były utrapienia, obawy po części już nieaktualne, bo tak ostro atakowane przeze mnie wnętrza kamieniczek Starego Rynku nie miały, powoli ale stale ukazują oczom zdumionych a wnikliwych turystów piękno, które czas i wojna nie dotknęły.

„przedziwne sufity, stropy, renesans z kasetonami, żebra gwieździstych sklepień, czas średniowieczny tukami z gotyckich, surowych cegieł o barwną ścianę się oparł.”

Zapisałam to sobie w noteci, jako uwagę z niedzielnej włóczki po moim i Pana miasteczku, Redaktorze.

No, ale cóż z tego, może Pan powiedzieć — poezji pani nie wruszy, podobno ta nieustatkowana muza bardzo rzadko zagląda do naszego grodu; złośliwi mówią, że szuka zagubionego pisma literackiego, które wychodzi w Poznaniu. Ostatnie jego strony już zebrała rozrzucone po stolicach najroźniej-

szych województw i powiatów Polski, ale pierwszej z tytułem i nazwą „poznajski”, dotychczas jeszcze znaleźć nie może. Optymiści mówią, że znajdzie w dniu, w którym zostanie ogłoszony 101-szy konkurs na projekt pomnika Mickiewicza w Poznaniu. Pesymiści, których nigdy nie braknie, dawno już przestali mówić, ale ja, Redaktorze, nie mam zamiaru przestać. Muszę przecież zrehabilitować w oczach wszystkich miłośników zabytków Pałac Działyńskich, któremu dwa lata temu niewesoła wróżka przysłała. A pałac stoi ustrójony „po nowemu” w dawną architekturę, która moim „wrożbom uraga”. Dach tylko cośkolwiek skromniejsze przybiera pozory, jako, że ostatnich zabiegów, więcej niż kosmetycznych zapomniano na nim poczynić. Ale przejdźmy dalej. Pałac Górskich (wspominałam, pamięta!) wprawdzie zdołał uchronić jeszcze niepokalaną czystość linii swych ruin przed brutalnością kielni i murarskiej zaprawy, ale zyskał za to bardzo miłe sąsiedztwo: niedługo przed Targami zbudziła się z dość niebezpiecznego, bo 10-letniego snu, była Szkoła Zdobnicza (awansowała, podobno na Baletową, z tej przyczyny, że ruch jako najprostszy przejaw dialektyki zyskał pierwszeństwo) i na gwałt zaczęła ła tać mocno już nadwątlone mury.

„Stanęły na nogi” i kamieniczki Klasztornej, na przekór skargom, które wiatr wygrywał co jesień na rozsypujących się ceglach. Pociągają więc Pałac Górskich po sąsiedztwo: nie martw się, bracie, nie ginie nie ginie architektura — cegła więcej, cegła mniej, nie zawadzi; od czegoż nasi cudotwórcy rekonstruktorzy, czarodzie-

scy wskrzesiciele nie istniejących „stylowych wystrojów”, współcześni magowie średnio-wiecznych uroków; co nie ma — tworzą, co brakuje — dolepią, co jest — przekształcą. Niech tam sobie Imci Wojewoda Górka zakłada „uroczyste protesty” przeciw ich czarno-księskim sztuczkom, nie pomoże; i datę 1536 w kamieniu wyrzują, wiekom przeszłym na pamiątkę, przyszłości na przestrogę, niech nie dufa zbyt w historyczne realia.

Na tym koniec z żartami, panie Redaktorze, ale jeszcze... nie koniec naszej przechadzki po mieście, ani mojego listu, który od tego miejsca staje się listem poważnym. Pokażę panu teraz zamiast „bajecznie kolorowych” kamieniczek Starego Rynku, starą, szczerzającą przez wieki ścianę zamku, który był niegdyś wspaniałym; zamku, którego nie ma. Kiedy patrzysz na z Wielkopolskiego Placu dojrzyysz ogromną ryse, szczerelinę, w którą uparty czas wsąca wodę, wiatr i zagładę. Czy istotnie zagładę?

A ja, k lekiem przejmuję mnie nagła cisza — niepojęta zмова milczenia wokół Zamku Przemysława. Od 10-ciu z górą lat resztki dawnego Grodu Przemysława, rówieśnika 700-letniego Poznania tracą nadzieję ratunku; przez 10 z górą lat nie uczyniono nic, do słownie nic nad uratowaniem kruśzącej gotyckiej cegły, nad zabezpieczeniem gotyckich sklepień, nad konserwacją gotyckich murów obronnych. Były wprawdzie bardzo „obiecujące” plany, ogłaszały nawet misternie skonstruowany model odbudowy i zabudowy Góry Przemysława, historycy szperali, architekci kreśliли, a my zwykli śmiertelnicy wierzyliśmy w

urojone wizje zamków na szklanej górze.

Nie wiem w jakim stopniu w te wstępne projekty został zaangażowany narodowy kapitał. Jeśli jednak jakieś projekty odbudowy zamku są jeszcze realne, czy nie należałoby zetrzeć z nich kurz, zainteresować opinię, zorganizować dyskusję wszystkich miłośników Poznania, podobną do tej, która toczyła się dookoła zabudowy „wnętrza” Starego Rynku? Czy konserwator wojewódzki nie mógłby udzielić odpowiedzi na pytanie:

co dotychczas postanowiono i uczyniono w celu uratowania przed zagładą jednej z najpiękniejszych pamiątek przeszłości naszego miasta?

Wprawdzie w pamięci pozostał nam niezbyt imponujący obraz zamku, takiego, jakim go przekazała Komisja Dobrego Porządku w Dobie Stanisławowskiej. Jednak nieliczne już badania przeprowadzone po obecnej wojnie odkryły wiele cennych fragmentów starej architektury, o których zabezpieczeniu niestety nie informowano wyczerpująco. Z pewnością dałoby się uratować choć nieliczne resztki, gdyby badania zostały zorganizowane planowo i co z tym się wiąże wydatnie sfinansowane.

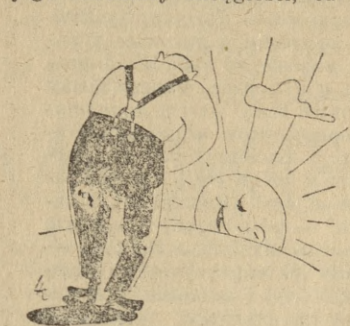
Zwracam się więc z apelem serdecznej a upartej troski do wszystkich tych, którym równie bliska jest sprawa Zamku Przemysława, do wszystkich tych, na których spoczywa wielki obowiązek uratowania resztek historycznego zamku, tak ściśle związanego z ideą zjednoczenia Polski, która właśnie dziś stała się naszą wspólną, narodową własnością.

SZTUKA dla SZTUKI

Sztuka felietonu polega nie na tym, by pisać na temat, ale na tym, aby się obchodzić bez tematu. Zamiast tematu jest pretekst. Pretekstem może być każdy guzik od spodni.

Skoro bierzemy guzik za przykład, chcemy powiedzieć przez to, że guzik jest czymś z natury nieważnym. Wszystko zależy od tego, by rzeczy nieważnej nadać znaczenie. Żeby zaś nikt nie powiedział, że uciekamy od naszych własnych maksym, pozostajemy przy tym pretekście. Piszmy o guziku.

Skoro tylko utkwnięmy oczy w jego skromnej okragłości, od-

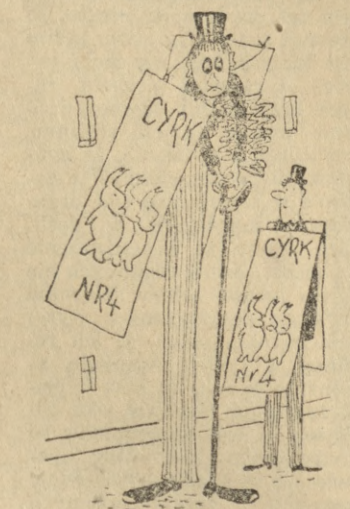


krywamy jak znaczącą rolę odgrywa ten niepozorny przedmiot w naszym życiu. Każdego rana krąg słoneczny przecina horyzont pysznie i wspaniale. Dokładnie z tą samą regularnością, z jaką co rano wyraziły krąg słoneczny przekracza horyzont, przechodzi przez dziurkę skromny krąg guzika od spodni. Między słońcem a niebem zachodzi taki sam odpowiedni stosunek jak między guzikiem i jego dziurką. Tak, gdy słońce zasłonięte przez chmury nie wkracza w nasz ranek, nie wiele zmienia to bieg naszego dnia. Gdy jednak guzik przepuści swą dziurkę, nasza ludzka godność jest zagrożona. Jakże ślepi byliśmy dotąd szacując tak nisko przedmiot, od którego trafne położenie zależy godność naszej osoby.

Byłoby wdzięcznym zadaniem dorzucić teraz badanie godności, owej szczególnej właściwości, która w tak metafizyczny sposób wiąże się z guzikami od spodni. Nikt nie mógłby nam z tego powodu czynić wyrzutów. Ponieważ nie mamy tematu, możemy błądzić dowolnie. Trzymajmy się guzika.

Im śniej trzymamy się guzika, tym łatwiej się urywa. Już go mamy w ręce. Oberwany guzik potrafi nastroić melancholijnie człowieka skłonego do zadumy. Istnieje wiele symbolów dla przenikalności rzeczy ziemskich. Dla przedstawienia tego stanu rzeczy lubimy posługiwać się przedmiotami wzniosłymi. Jest to droga właściwa jeśli zamierzamy rozkołysać uczucie efektami sentymentalnymi. Skoro jednak ktoś ma na uwadze rozsadek, guzik okazuje się sprzętem bardziej przydatnym niż najpiękniejsza reprodukcja Wyssy Umarłych*).

Można sobie łatwo wyobrazić filozofa, który zdobyłby tapetę znakami rozsądku, podobnie jak inni wieszają na ścianie w ramach znaki uczucia. Zerwany guzik w złotej ramce nad biurkiem byłby czymś więcej jak tylko konceptem surrealisty. Byłby znamię mądrości. Teraz łatwo zboczyć w rozważania nad różnymi upodobaniami duszy ludzkiej. Dotar-



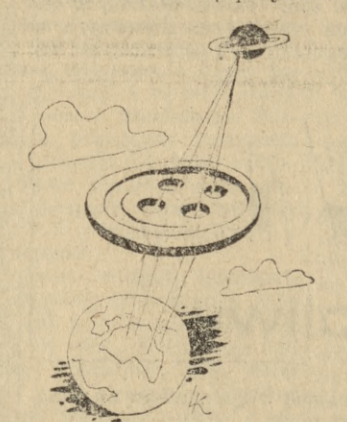
„Neue Berliner Illustrierte“
— Ciągłe opada mi skarpetka.

Curl Emmerich, piszący pod pseudonimem Peter Bamm, ur. w 1897 r., lekarz z zawodu, jest znanym felietonistą bawarskim. Wydał cztery tomy drobnych utworów prozatorskich oraz tom felietonów. Jest również autorem komedii „Stare zagadnienie”. Felieton „Sztuka dla sztuki” pochodzi ze zbioru „Die kleine Weltlaternen”, wydanego w 1953 r. w Stuttgarcie.

liśmy wszak do istoty sztuki i do różnicy między sztuką a filozofią, lecz przecież pragniemy pisać o guziku.

Są guziki, które obrywają się w miejscach, gdzie ich nie widać. Są jak zatajone potknięcia, o których nikt nie wie. Niepokoją sumienie. Ponieważ dzięki wspaniałej rozwinętej zdolności człowiek egzystuje znośąc symbiozę z własnym sumieniem, guziki takie pozostają obserwowane latami.

Jak wiadomo szelki zakładają potrzebę sześciu guzików, mają bowiem sześć patek. Dla starych, klasycznych szelek nie jest to tak ważne. W razie potrzeby wystarczą im trzy guziki, bowiem w starych, klasycznych szelkach nie ma rozdzielných patek. Istnieje jednak nowy diabelski rodzaj szelek, w których patki są luźne i wymagają trzech par nie zerwanych guzików. To że szelki te wszędzie się upowszechniły, należałoby ocenić jako przejaw rozkładu rodzaju męskiego, gdyby mężczyźni nie znaleźli sobie wybiegu świadczącego, iż nie przestali być nieponiamami. Zapina się mianowicie szelkę obu patkami na jednym guziku. Jeśli oderwany guzik stanowi rodzaj symbolu dla nieczystego sumienia, to obie patki na jednym guziku są symbolem ludzkiej moralności. Jak długo nikt tego nie widzi, człowiek nie obawia się przymoco-



wać dwóch patek na jednym guziku. Wiąże zatem dwie czynności z jednym motywem, przekładając kłamstwo nad prawdę, pozor nad istotę, przypisując sobie pozory szacunku i solidności. Oto rozpoznać się przed nami szerokie pole moralności. Jakże bliską jestę tym tego, by wytrzeć zwierciadło i postawić je przed ludzkością. Ale my pragniemy pisać o guziku.

Z kolei idą oderwane guziki, które widać. Gdy stoi się z przyjacielem na ulicy i, zanim nadejdzie autobus, rozwiązuje się spiesznie zagadkę świata, odczuwa się nieposkromiony pociąg, by przyjaciela chwycić za guzik i guzikiem tym kręcić. Nad owym zjawiskiem zastanawiano się niemało. Istnieje pewna ilość subtelnych teorii takiego kręcenia. Dla nas sprawa nie jest ani zdumiewająca ani zagadkowa. Guzik pozostaje, jak się przekonał, w najściślejszych związkach ze słońcem, z godnością ludzką, z przemijalnością rzeczy ziemskich, ze sztuką, z filozofią i z moralnością. Cemu więc ten godny uwagi przedmiot nie miałby pozostawać w równie bliskim związku z logiką?

Logiczny guzik, jeśli go kręcić dość często, zgodnie z prawami logiki, urwie się po pewnym czasie. Tu zaś trafiamy na teren wiedzy o charakterze. Nie ma lepszej okazji, by poznać charakter przyjaciela, jak wtedy, gdy ukurzymy mu guzik przy niewytłumaczalnym płaszczu. Rozliczne są tu możliwości przyjacielskiej reakcji. Nie trzeba wcale katastrofy okre-

towej, by się przekonać, na którym z naszych przyjaciół można polegać. Jasne, że są nimi ci, którzy zaczynają się śmiać z chwilą urwania guzika.

Między śmiechem a stałością charakteru związek wymowny — lecz na miłość boską, dokąd dotarliśmy! Gospodarcze znaczenie przemysłu guzikowego: przyszyty guzik, całkiem po prostu przyszyty guzik, wreszcie przyszywanie guzika, jako początek szczęśliwej miłości, która wiedzie do małżeństwa, dobrobytu, dzieci oraz błogosławieństwa wnuczaka... — zaiste, guzik jest okragły i nie ma krawca. Jest zagadką kosmiczną, rzeczą samą w sobie**), prawdziwym cudem natury.

Proszę o pobłażanie, że zacząłem się na wstępie. Jest to zapewne najniebezpieczny zarzut, jaki literatowi można postawić. Znajdujemy się tutaj w doborowym towarzystwie. Autor, Syzyf****) guzika od spodni, przyrzeka wnieść guzik jeszcze wyżej — na szczyty poznania. Gdy w końcu zdobędziemy tę górę, będziemy się mogli spodziewać, że na wierzchołku



oczekuje nas wróżka. Wręczy nam złoty guzik, złoty guzik od czapki szczęścia, który nie zerwie się nigdy.

*) Wyspa Umarłych — Słynny obraz wybitnego malarza Arnolda Böcklina (1827—1901).

**) Rzecz sama w sobie — Termin filozoficzny Kanta.

*** Syzyf — w mitologii greckiej syn bożka Eola skazany w Sadesie na ciężkie bezowocne prace. Symbol wyczerpującego bezskutecznego działania.



„Neue Berliner Illustrierte“
— I znowu jesteś taką chłodną przy pożegnaniu.



— Ciekaw też jestem, czym dziś pan usprawiedliwi swoje spóźnienie.

Wiersz niemoralny

Cichy, skromny, stateczny,
do lokalów nie chodzi.
Szanowany. Społeczny.
Wzbudza życiem swym podziw.

A moralność? — Wysoka.
Niezym dlań jest kobieta.
Prawy działacz. Opoka.
Prezes. Członek. Sekretarz.

Powiedziałem mu kawał —
zawsze dowcip doceniam.
Lecz się zepsuć nie dał:
— Gniesz — rzekł mi. — Od rdzenia.

Widział udo w Operze
i aż zbladły mu usta —
teraz — szepnął — już wierzę,
że jest u nas rozpusta!

Na ulicy mnie spotkał, —
siedział z ładną dziewczyną.
Zmierzył mnie jak wyrodek,
i nim jeszcze nas minął —

— Śpiesz mi się — wykrzyknął —
pocztę zamknąć już mogą!
— Ach, naprawdę mi przykro...
I popędził swą drogą.

I pomyślał o synie,
obywatel ten święty,
gdy wysyłał w terminie
alimenty.

Wieszcz narodowy
— prywatnie

DYSKURS POWOZOWY

Któregoś dnia, podczas pobytu Mickiewicza w Paryżu, odwiedził go znany ze swego roztargnienia, a bogaty — nawet na emigracji — hrabia Ksawery Branicki. Wśród rozmowy, pan Adam spojrzał na zegarek, przeprosił gościa, wyjaśniając, że o trzeciej godzinie oczekują go w Palais-Royal.

— O trzeciej — odpowiedział Branicki — to dopiero kwadrans po drugiej.

— Zapewne — rzekł Adam — ale to daleko, zanim zajdę...

— Mam na dole powóz, w dziesięć minut tam dojedziemy, porozmawiamy jeszcze...

Gdy punktualnie o trzeciej ek i paż stanął na miejscu, Mickiewicz powiedział:

— Gdyby nie te dobre konie, byłbym się pewnie spóźnił.

— A prawda — dodaje hrabia — to wielka oszczędność czasu, prędkie konie, ale, a propos: dlaczego pan nie trzymasz powozu?...

Zapytanie to Mickiewiczowi, który zupełnie „grozom nie śmiał” tak się wydawało zabawne, że z udaną powagą nachylając się do ucha Branickiego, szepnął mu tajemniczo:

— Ze względów politycznych!
— A, jeśli tak, to co innego — uspokoił się hrabia Branicki.

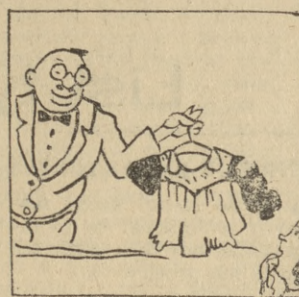
W CHARAKTERZE LISTONOSZA
O pobycie w Pizie, przyjaciel Mickiewicza, Irlandczyk Jon Leonard słyszał od niego następującą historię:

„W Weimarze pani Otylia Goethe powierzyła mi list do pana Robertsona we Włoszech. Zauważyłem, że nie było adresu, ale uspokoiła mnie, tłumacząc, że go każdy zna. Daremnie dopytywałem się wszędzie o niego i zapomniałem listu w moim pugłaresie. Jednak kiedyś znalazłem się w katedrze podczas odprawiania mszy żałobnej; katafalk ustawiony pośrodku. Powie-

dziano mi, że ktoś leży w katafalku. Dowiaduję się u zakrystiana. Ten mi odpowiada:

— Musisz pan to wiedzieć? Jeśli już trzeba, to powiem, że Anglik Robertson prosił nas o pozwolenie przełożenia wewnątrz katafalku, aby przekonać się, jakiego dozna wrażenia.

Po ceremonii egzekwiiw, Mickiewicz — zadowolony, że znalazł adresata listu, pobiegł ku niemu z listem w ręku, mówiąc: „Nie wiedziałem, że mi wypadnie list doręczyć nieboszczykowi...”

CHOROBY PRZEMYSŁU
TERENOWEGO

Uszkodzenie tkanek



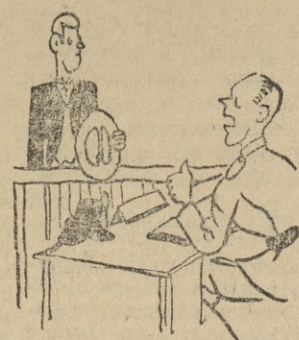
Skleroza naczyń



Choroby skóry



Wypadanie włosów



HUMOR SZWEDZKI

— Panie komisarzy! Przyszłem zawiadomić, że mój kapelusze nie był skradziony. Dziś go znalazłem.

— Za późno! Złodziej już aresztowany.



KOSZTOWNA OMYŁKA

Obywatel szwedzki Lennert Sjöberg zdrwił się niepomiernie, gdy przybywszy w sobotę do swego domku wiejskiego w pobliżu Sundsvall (Północna Szwecja), zobaczył tylko kupkę trocin. Dom zniknął bez śladu. Ponieważ Sjöberg nie wierzył w cuda a raczej w sprawność policji, więc zameldował niezwłocznie o tajemniczym zniknięciu domu. Na drugi dzień zgłosił się pewien spedytor. Otrzymał on zlecenie od drugiego obywatela, aby w tejże samej okolicy rozebrał domek i przewiózł go w inne miejsce. Ostatecznie, każdy człowiek jest omylny, więc i spedytor omyłkowo zlikwidował cudzy dom. Obecnie będzie musiał nie tylko Sjöbergowi dom z powrotem przywieźć i postawić na własny koszt, lecz w dodatku właściwy dom rozebrać i przetransportować a nadomiar zapłacić jeszcze Sjöbergowi odszkodowanie za zmarnowany urlop.

ARIA DO SERA

Zręca jest powszechnie aria do kwiatka z opery „Faust”. Należy się jednak spodziewać, że wkrótce zakasuje ją aria do sera, którą zamierzają spopularyzować dwaj uczeni amerykańscy. Ich zdaniem, odkryli oni narzęcie środek na przyspieszenie procesu dojrzewania wszystkich gatunków sera. Jest nim odpowiednie natężenie głosu wydawanego podczas mówienia lub śpiewania. Nie wiadomo do tej pory, czy nowym wynalazkiem zainteresowali się już producenci szwajcarskiego sera...

WESOLA STYPA

Hrabina Renata Solaro di Sistelo (Włochy), spojrzała rano w gazetę i przeczytała własny nekrolog. Oczywiście nie ona jedna. Przez cały dzień nie zamykały się drzwi przed wizytami oraz listami kondolencyjnymi. Wieczorem wydała hrabina przyjęcie. Zaprosiła swych przyjaciół, by im okazać, że jest zdrowa jak ryba. W kulminacyjnym punkcie uczty, wszedł do salonu przedsiębiorca pogrzebowy pytając się gdzie jego pomocnicy mają wstawić pomuncie. Tego już było zmarłej za wiele. Ponieważ nie miała zamiaru przeżywać detalicznie dalszych ceremonii pogrzebowych, zawiadomiła policję. Finału nie znamy.

MA DOŚWIADCZENIE...

Znany pod przydomkiem „Bottle-Bill” 56-letni waga-bunda z Chicago, wystąpił w charakterze adwokata przed sądem policyjnym, broniąc swego kolegi oskarżonego o notoryczne pijaństwo. W swej mowie obronczej spisał się tak znakomicie, że oczarowany sędzia zaangażował „Bottle-Billa” jako eksperta sądowego dla spraw pijaństwa. „Nowy radca sądowy” otrzymuje dziennie 4 dolary, które wspaniały sędzia zobowiązał się płacić z własnej kieszeni.